

IZA MACIEJEWSKA

SEN PACHNĄCY MARZENIAMI

IZA MACIEJEWSKA

SEN PACHNĄCY MARZENIAMI



Prolog

Siedziała na fotelu przy biurku i patrzyła na swoje dłonie. Drżały. Wiedziała, że domagają się uspokojenia. Wichura, która rozszalała się w jej głowie, targała umysłem na lewo i prawo, niczym rozjuszony sztorm łajbą na morzu. Docierało do niej, że jeśli czegoś nie zrobi, za moment osunie się w najciemniejsze zakamarki swojego umysłu. A stamtąd droga do piekła była prosta. Gdziekolwiek spojrzała, tam czaiło się niebezpieczeństwo. Widziała je w dokumentach leżących na biurku, w szafce, która stała w rogu pomieszczenia. Nawet w kwiatkach na parapecie. Wszystko mogło wywołać atak paniki.

Zrób to. Poczujesz ulgę.

Nachalne podszepty wczepiły się w nią swoimi małymi pazurkami. Wbiwały je w jej mózg tak dotkliwie, ale też skutecznie, że w końcu otworzyła drzwiczki od szafki znajdującej się w biurku, przy którym siedziała. Jej wyciągnięta ręka zamarła w połowie drogi, gdy do uszu dotarły dźwięki dochodzące zza drzwi. Przez chwilę ich nasłuchiwała. Rozmowy, śmiechy, kroki... Pot zaczął skraplać się na jej czole, oblepił klatkę piersiową

i spływał po kręgosłupie. Wpatrywała się ze strachem w kłamkę, jednak nikt nią nie poruszył. Wciąż była tu sama. Balansująca na granicy wytrzymałości dłoń zacisnęła się na szyjce od butelki. Nie powinnam tego robić, pomyślała, tak bardzo świadoma ewentualnych konsekwencji. Ale zrobiła. Przełknęła gorzki smak łez. I porażki. Uniosła butelkę. Przeźroczysty płyn wypełniał ją mniej więcej do połowy. Odkręciła korek i przytknęła szyjkę do ust.

Cierpki smak alkoholu zaczął przepływać przez przełyk. Paliło ją w gardle, mimo to pociągnęła kolejny gorzki łyk. I jeszcze jeden. Wtedy to poczuła – ulgę, która zaczęła rozlewać się po jej ciele, oraz tak bardzo potrzebne rozluźnienie.

Chciała odłożyć butelkę, ale ta wysliznęła się jej z ręki. W jej uszy wdarł się dźwięk rozbijanego szkła. Po pomieszczeniu rozniósł się zapach alkoholu.

Ktoś otworzył drzwi od gabinetu.



Rozdział pierwszy

Kiedy procenty zaczynają krążyć w krwiobiegu w ilości znacznie przekraczającej możliwości przyswojenia ich przez konkretnego człowieka, problemy nagle przestają istnieć. Jednak mało kto myśli o tym, że to tylko na chwilę. Mało kto bierze pod uwagę, że gdy przyjdzie kac, nastąpi też niechciane zderzenie z rzeczywistością.

Liczy się tu i teraz, czyli smak alkoholu w przełyku, szum w głowie i wyparcie.

Wódka to wspaniałe lekarstwo, pomyślała Renata, patrząc półprzytomnym wzrokiem na swoją matkę, która stała nad nią z rozpostartymi ramionami. Irena Owczarek przypominała wielkiego ptaka. Jednak nie takiego, który weźmie pod swoje skrzydła pisklę, aby je ochronić. Nic z tych rzeczy. Przypominała sępa, który gotowy był rozszarpać swoją martwą już ofiarę na kawałki. Pięknie wymodelowane, w znacznej mierze siwiejące włosy, dostojna uroda tej kobiety i oryginalna koszula z nadrukiem flaminga, którą miała na sobie, były tylko kamuflażem. Irena Owczarek wyglądała jak

ktoś, kto muchy by nie skrzywdził. Były to jednak tylko pozory.

– Jest mi wstyd, że jestem twoją matką! Jak mogłaś doprowadzić się do takiego stanu? Upaśłaś się jak tłusta świnia! Czy ty w ogóle widziałaś się w lustrze? Zdajesz sobie sprawę z tego, że śmierdzisz? Śmierdzisz jak gówno! – Matka wrzeszczała, bardzo mocno przy tym gestykulując. No sęć jak się patrzy. – I jeszcze postanowiłaś zrujnować swoją karierę! Studia, na które posłaliśmy cię z ojcem, kosztowały majątek, a ty co? Masz zamiar zaprzepaścić wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy? Masz się w tej chwili za siebie wziąć! Rozumiesz? Renata, do jasnej cholery! Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię?

Renata nie zamierzała niczego rozumieć. Bo po co? Po co rozumieć pretensje kogoś, kto nie ma bladego pojęcia o tym, co ona naprawdę czuje? Kogoś, kto nie chce słuchać, bo wszystko wie najlepiej. Kimś takim była właśnie jej egoistyczna matka – chodząca siedemdziesięciotomowa i tyleż letnia encyklopedia.

– Mówię do ciebie! Albo się za siebie weźmiesz, albo... – Wściekła Irena urwała w pół zdania, uważając, że niewypowiedziana groźba zrobi lepsze wrażenie na jej upojonej alkoholem córce, niż gdyby wyraziła swoje myśli na głos.

Głos matki brzmiał trochę jak bzyczenie upierdliwego komara. Albo nie, nie komara, pomyślała Renata. Muchy. Takiej wielkiej. Drażniącej układ nerwowy. Co to, jak wpadnie do pokoju, to zapieprza po nim niczym

helikopter, którego pilot ma ADHD. Robacznicza. Chyba tak się na nią mówi.

Natomiast twarz, na którą patrzyła przepitym wzrokiem, przypominała postać z jej sennego koszmaru. Zjawiała się na niej od wielu miesięcy. Powykrzywiona, groteskowa, przerażająca. Przychodziła każdej nocy i mówiła, jak bardzo bezwartościowym i beznadziejnym człowiekiem jest Renata. Szeptwała do ucha, że najlepiej, gdyby jej nie było. I Renata w to uwierzyła.

– Co mi zrobisz, jak się za siebie nie wezmę? Przełożysz przez kolano? Zabronisz oglądać telewizję? Pozbawisz deseru? – zapytała. Gdyby nie była pod wpływem tak dużej ilości alkoholu, nie ośmieliłaby się odezwać w taki sposób do matki, samozwańczego autorytetu, bez mała, w każdej dziedzinie.

– Jesteś lekarką, do jasnej cholery! – Irena krzyknęła. – Lekarką! – powtórzyła, jakby miało to cokolwiek zmienić i sprawić, że córka się opamięta.

– Byłam lekarką. Ale już nią nie jestem, bo mnie zawiesili. Bo mi się butelka z wódką roztrzaskała na podłodze akurat w momencie, w którym do gabinetu weszli rodzice z dzieckiem. Cóż za niefart – wybełkotała.

– Jesteś jednym wielkim rozczarowaniem! – wyrzuciła z siebie matka.

– Najwidoczniej dostałam od was wadliwe geny.

Głowa Renaty odskoczyła w bok na skutek zetknięcia się ze wściekłą dłonią matki. Tylko że ból, który poczuła, nie zrobił na niej wrażenia. Był niczym w porównaniu z cierpieniem, jakie zadał jej człowiek,

którego w swej naiwności pokochała, a który tak bardzo ją skrzywdził.

Sebastian, jej największy wyrzut sumienia.

Irena nie pierwszy raz podniosła rękę na swoją dorosłą córkę. W jej mniemaniu to, że latorośl już dawno przekroczyła osiemnasty, a nawet i trzydziesty trzeci rok życia, o niczym nie świadczyło. Wspomniała o tym.

– Jesteś niczym więcej jak rozpieszczonym bachorem! Wszystko ci z ojcem daliśmy! Zapewniliśmy zawód, przyszłość, perspektywę! Żyli sobie wypruwaliśmy, żebyś ty wszystko miała! Ale tak to jest, jak się dostanie życie podane na tacy! Ty niczego nie szanujesz! I nikogo!

Tak, zgodzę się z tobą, pomyślała Renata, ja nawet siebie nie szanuję.

– Nie chciałam być lekarzem – powiedziała cicho. Za cicho, żeby zajęta tyradą matka ją usłyszała. – Nie chciałam być lekarzem – powtórzyła.

Tym razem jej słowa również nie dotarły do uszu rozgoryczonej Ireny, bo w momencie, w którym Renata zdobywała się na szczerość, ona podeszła do okna. Stała zwrócona plecami do córki. Miała wysoko uniesiony podbródek i mocno zaciśnięte usta. Cienka linia jej warg niebezpiecznie drżała. Całości dopełniały dłonie zaplecione pod piersiami. Jej oddech świadczył o zdenerwowaniu. Patrzyła na ludzi spacerujących po chodniku. Można było tylko snuć domysły, co Irena ma teraz w głowie.

Rozczarowanie córką? Ciepło. Wstyd za zachowanie Renaty? Ciepłej. Zażenowanie, że jest jej matką? Gorąco!

– Masz szczęście, że ojciec wciąż ma znajomości. Że jego nazwisko ciągle coś znaczy – powiedziała, zdobywając się na neutralny ton. – Wyciszmy sprawę, pójdzie odwołanie, a potem przeniesiesz się do innej placówki. – Odwróciła się i spojrzała na córkę, dodając: – Powinnaś być nam wdzięczna, że nadstawiamy za ciebie karku.

Najbardziej wdzięczna bym była, gdybyś dała mi spokój i sobie już poszła, pomyślała Renata. Chociaż w jej głowie latał helikopter, to wstała z fotela. W pierwszym momencie jej postawione do pionu ciało sprawiało wrażenie, jakby za moment miało się rozbić, tym samym ona, jako pasażerka śmigłowca, wylądowałaby między fotelem a ławą. Jakoś jednak zapanowała nad koordynacją. Spojrzała na matkę.

Nigdy nie będę tobą, pomyślała. Przecież ja nigdy nawet nie chciałam być taka jak ty. Ale sobą też nie mogłam nigdy być. Kim ja tak właściwie jestem? Tworem twoim i ojca? Tak, to wy mnie stworzyliście i ukształtowaliście. Żyłam pod wasze dyktando.

– Nie chciałam być lekarką – wymamrotała.

Miała szczęście albo nieszczęście, bo słowa te trafiły akurat na moment, w którym jej rodzicielka przeżywała ślinę. Tylko dlatego Renata została usłyszana.

– Słucham? – zapytała Irena. Zrobiła kilka bardzo dynamicznych kroków w stronę córki i ponownie zapytała: – Coś ty powiedziała?

– Nie chciałam być lekarką. Nigdy – powtórzyła.

Dłoń matki po raz kolejny wylądowała na jej policzku. A potem uderzenie nastąpiło z drugiej strony

i ponowie z tej poprzedniej. Pierścioneek znajdujący się na palcu Ireny zahaczył o skórę Renaty i rozciął ją. Poczuła na ustach smak krwi. W milczeniu oblizwała wargę, przymknęła powieki i spuściła głowę. Czuła się jak karcona dziesięciolatka. Zaraz pewnie matka wyśle ją do pokoju, żeby przemyślała pewne sprawy. A potem każe napisać wypracowanie, w którym Renata przeprosi za swoje nieodpowiedzialne zachowanie. Miała stopy takich wypracowań w kartonowym pudełku. Trauma w ładnym opakowaniu.

– Okaż chociaż odrobinę wdzięczności za to, co dla ciebie z ojcem zrobiliśmy! – wyrzuciła z siebie Irena. Dystyngowanym ruchem poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę drzwi. Nie odwracając się, powiedziała: – Tak mnie przez ciebie boli głowa, że muszę teraz iść do apteki. Zanim wrócę, masz się ogarnąć.

Z jej słów można było wywnioskować, że „ogarnięcie się” nie wymaga nie wiadomo jak wielkich umiejętności. Po prostu – ktoś ci to mówi, a ty to posłusznie robisz. Natychmiast. A jak nie ze skutkiem natychmiastowym, to za pięć minut. Naprawdę nie potrzeba do tego tytułu doktora, chociaż jej córka takowy posiadała.

Dźwięk zamykanych drzwi dotarł do uszu Renaty jakby z opóźnieniem. Stała na środku swojego przepięknego, skąpanego w wiosennym słońcu salonu z pochyloną głową. Myśli, które ją nachodziły, nie miały skrupułów. Były oskarżycielskie, prześmiewcze i pogardliwe. Dotykały ją do żywego i miały nad nią władzę. Zaczęły sterować jej mózgiem, a potem ciałem.

Ruszyła przed siebie, szła bardzo powoli, powłócząc nogą za nogą i opierając się o meble, a czasem o którąś ze ścian. Jej widzenie było nieostre, nie wiedziała więc, czy opiera się o ścianę, szafę, czy coś innego. Usłyszała za plecami hałas, ale nie odwróciła się. Nie interesowało jej, że straciła piękną i bardzo starą lampkę, która stała na szafce. Nie miało znaczenia ani to, ile za nią zapłaciła w sklepie ze starociami, ani to, jak bardzo się cieszyła, kiedy ją kupiła. Zrzuciła jeszcze obraz ze ściany, gdy oparła na nim dłoń. On również do tanich nie należał. Renata miała przed sobą cel, a były nim białe drzwi na końcu korytarza. Stawiając krok za krokiem, czuła się trochę tak, jakby od nowa uczyła się chodzić. Tylko ona wiedziała, ile wysiłku musiała włożyć w tę nową, ale jednak starą umiejętność. Kiedy w końcu dotarła do upragnionego celu, otworzyła drzwi i przekroczyła próg łazienki. Robiąc kolejny krok, potknęła się i upadła. Zapomniała, że na środku pomieszczenia stoi taboret. Zresztą nie tylko to uleciało z jej pamięci. To, że kiedyś dość skutecznie próbowała być odważna, radośna, pewna siebie i przebojowa, również zatarło się we wspomnieniach. Leżała na zimnych płytkach i przytulała do nich rozgrzany policzek. Pozwoliła sobie nawet na moment zawahania. I właśnie wtedy chciała zmienić zdanie. Chciała się „ogarnąć”. Chciała spełnić oczekiwania matki i ojca i zarazem im sprostać. Być dawną sobą. Może i uległą, bo będącą pod wpływem despotycznych rodziców, ale bywało też, że szczęśliwą kobietą. Najszczęśliwsza była, kiedy ojciec i matka trzymali

się na dystans, a ona mogła decydować sama za siebie. Coś w jej głowie szeptało, że mogłaby spróbować wstać z kolan i zawalczyć o to złudne szczęście. Naprawdę mogłaby to zrobić.

Tylko że ta chwila minęła bezpowrotnie.

Oddychała głęboko i ciężko. Sprawiało jej to wielką trudność. Uniosła się i na kolanach zbliżyła do doniczki z kwiatem. Paprotką. Roślina była piękna, gęsta i aż kłuła po oczach intensywną zielenią. Bardzo służył jej klimat wilgotnej i zacienionej łazienki. Renata rozgrzebała ziemię, żeby wyjąć ze środka to, co w niej ukryła. Trzy dni temu, gdy wyszła z monopolowego z przytuloną do boku płócienną torbą wypełnioną po brzegi butelkami z alkoholem, poszła do zapomnianego przez wielu ludzi kiosku i kupiła paczkę żyletek. Tak kazał jej głos w głowie. Posłuchała go. Ten głos przyszedł jej znowu z pomocą i odpowiedział, gdzie ma je ukryć, bo chociaż Renata mieszkała sama, to paranoicznie bała się tego, że ktoś znajdzie żyletki i domyśli się, do czego zostaną użyte. Głos zapewnił, że nikt ich tam nie znajdzie.

Podniosła się nie bez problemu i ściskając w pobrudzonej ziemi dłoni tekturowe pudełeczko, zbliżyła się do stojącej na lwich nogach wanny. Pierwszy raz zobaczyła ją osiem lat temu, przeglądając ogłoszenia o sprzedaży mieszkań. Postanowiła w końcu wyprowadzić się z rodzinnego domu. Zyskała nawet aprobatę ojca i matki, którzy uznali, że łaskawie pozwolą jej na ten krok w dorosłość. Oczywiście dalej zamierzali sprawować nad nią kontrolę. Renata trafiła na wymagające

remontu mieszkanie i pomimo nakładu pieniędzy i pracy, jakie należało w nie włożyć, była to miłość od pierwszego wejrzenia. Już jej jednak ta miłość minęła. Już nie potrzebowała cieszyć się tymi ścianami.

Wgramoliła się do wanny w ubraniu – miała na sobie majtki, w których chodziła od kilku dni. Jej śmierzdząca kilkudniowym potem i oblepiona resztkami jedzenia koszulka również wołała o pomstę do nieba, a już na pewno o wrzucenie do pralki. Powąchała się. Matka miała rację. Śmierdziała. Odkręciła kurek i przez chwilę obserwowała, jak z kranu wypływa woda. Gdy już się napatrzyła i gdy jej zdaniem poziom wody osiągnął odpowiednią wysokość, zakręciła kurek i oparła tył głowy o wannę. Przymknęła powieki, jakby próbowała się zrelaksować po ciężkim dniu w pracy. Tylko że Renata nie miała ciężkiego dnia w pracy. Ona miała ciężkie życie.

Woda była ciepła i przyjemna, ale nie dawała ukojenia. Odbierała siły. Otworzyła oczy. W wyciągniętej dłoni, która spoczywała na brzegu wanny, trzymała pudełko z żyletkami. Było małe, a jednocześnie bardzo ciężkie. Niezgrabnym ruchem zaczęła otwierać opakowanie. Rozerwała je, a cała zawartość wpadła do wody. Ogarnęła ją bezradność.

– Nawet zabić się porządnie nie potrafię – wyszeptwała.

Coś w niej nieodwracalnie pękło. Z oczu popłynęły łzy, a ciało ogarnęła fala bezużyteczności i szlochu. Chciała się zatracić w tych emocjach, ale nie mogła, bo nie miała na to ani przestrzeni, ani czasu. Pośpiesz się, ponaglała się w myślach. Miej to już za sobą. Drżące

dłonie odmawiały współpracy, gdy brodziła nimi w wannie, szukając żyłek. Zamglony wzrok również nie był jej sprzymierzeńcem. W końcu natrafiła na zgubę. Była jeszcze w papierku. Wyjmując żyłkę z opakowania, zacięła się. Maleńkie kropelki krwi zaczęły wpadać do wody jedna po drugiej. Renata patrzyła na nie z pewnego rodzaju zafascynowaniem. Z jakąś nabożną ciekawością. Przypominały czerwony dym, z tym że nie unosiły się w powietrzu, tylko trafiały pod wodę.

To nic takiego, pomyślała, patrząc na swoją zakrwawioną dłoń, to przecież nawet nie boli. Oparła lewą rękę na udzie w taki sposób, że widać było linie papilarne. Spojrzała na tę, którą nazywano linią życia, a potem zatopiła ostrze żyłki w nadgarstku.

Teraz już nikt mnie nie skrzywdzi, pomyślała. Nikt.



Rozdział drugi

Eliza była śliczna i bardzo dziewczęca. Miała tyle samo lat co Wiktor, czyli dwadzieścia trzy. Byli ze sobą od pięciu. Poznali się w liceum, chodzili do równoległych klas, zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia i uważali, że będą ze sobą już zawsze. Mieli piękne plany na przyszłość: podróże w najodleglejsze zakątki świata, skromny ślub na tropikalnej plaży, zakup mieszkania lub budowa domu, a kiedyś dziecko.

– Między nami koniec – powiedziała Eliza.

Słyszając te słowa, Wiktor popatrzył na nią tak, jakby opowiedziała mu mało śmieszny żart. Nim się odezwał, najpierw rozejrzał się dookoła. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Może potrzebował przetrwać to, co usłyszał? A może chciał dać jej szansę na wycofanie się z tych słów? A może tylko mu się wydawało, że ona to powiedziała? Może jak za chwilę ponownie na nią spojrzy, ona będzie się do niego uśmiechała i gładziła jego dłoń? Tak jak zawsze, kiedy ze sobą byli.

Siedzieli w jednej z knajp na rynku w Rzeszowie, rodzinnym mieście Elizy. Wiktor mieszkał w Traszkach,

urokliwej podrzeszowskiej wiosce, gdzie każdy każdego znał. Natomiast tutaj, w dużym mieście, łatwiej było zachować anonimowość. Żadna z osób, na którą teraz patrzył, nie była mu znajoma. Ani ten mężczyzna z dużymi wąsami, który gapił się w laptopa, robiąc przy tym dziwne miny, ani siedzący po drugiej stronie lokalu, przytuleni do siebie zakochani, ani kobieta w żółtej sukience i czerwonych okularach, która właśnie składała zamówienie przy bufecie. Istniało prawdopodobieństwo, że żadnej z tych osób nie spotka już nigdy w życiu. Nikt poza Elizą nie wiedział, że Wiktor jest synem sprzątaczk i oraz podrzędnego pijaka i złomiarza. Siedział przy stoliku z piękną dziewczyną, więc na pewno postrzegali go jako porządnego młodego człowieka. Był dobrze ubrany, miał modnie przycięte włosy, skropił się ulubionymi perfumami swojej dziewczyny. Wiele razy słyszał, że wygląda jak model. Wiedział, że koleżanki Elizy wodzą za nim pożądliwym wzrokiem. Jego ciało było muskularne, sprężyste, opalone. Zawdzięczał to fizycznej pracy. Miał duże usta i zęby stworzone do pokazywania ich podczas uśmiechu. Pociągła, symetryczna twarz, prosty nos, mocno uniesione kości policzkowe i lekko falowane włosy tworzyły aurę ni to mężczyzny, ni to chłopaka. Znajdował się gdzieś pomiędzy wiekiem młodzieńczym a wejściem w dorosłość. W jego szarych oczach mieniły się złote drobinki. Otaczały je nieprawdopodobnie grube i gęste rzęsy, na które Eliza nieraz patrzyła z zazdrością i mówiła, że na świecie nie ma żadnej sprawiedliwości.

Ponownie na nią spojrzął.

– Zrobiłem coś złego? – zapytał. Wyciągnął swoją spracowaną dłoń, by dotknąć dłoni dziewczyny, ale nim do tego doszło, Eliza zabrała ręce ze stolika. Ależ to było przykre i rozczarowujące uczucie. – Lizka, co się dzieje?

Spojrzała na niego swoimi pięknymi, niebieskimi oczyma. Kosmyk blond włosów opadł jej na czoło, więc założyła go za ucho. W tym ruchu można było zobaczyć nerwowość. Szybko jednak odwróciła wzrok, a potem sięgnęła po filiżankę z kawą. Upiła łyk. Potem kolejny. Zamiast jednak powiedzieć, co się stało, patrzyła na porcelanowe naczynie, jakby to była dla niej bezpieczna przystań. Tak mogło być, bo filiżanka nie zadawała niewygodnych pytań. W przeciwieństwie do Wiktora.

– Lizka? – Nachylił się nad stolikiem. Jego silne dłonie spoczywały na blacie, gotowe chwycić ją i utulić. I on, i jego wrażliwość bardzo tego pragnęli. – Spójrz na mnie. Wyjaśnij mi to. Powiedz, co się dzieje. Nic nie rozumiem.

Niebieskie oczy Elizy w końcu odważyły się spotkać z szarymi oczyma Wiktora i patrzeć na niego dłużej.

– Rodzice chcą mi kupić mieszkanie – powiedziała.

– I dlatego chcesz mnie zostawić? Eliza? – Patrzył na nią i naprawdę nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Czy był aż tak głupi?

– Powiedzieli mi, że kupią je, jak z tobą zerwę. To jest ich warunek. W innym przypadku będę musiała wynajmować, a oni nie będą mi pomagać finansowo. Odetną mnie od pieniędzy. Oni cię nie akceptują – wyrecytowała

na jednym wdechu formułkę, którą ćwiczyła cały miniony tydzień.

– To nie nowość, że twoi rodzice mnie nie lubią. Wiem o tym, odkąd ze sobą jesteśmy – powiedział Wiktor. – Ale przecież damy sobie radę bez ich pomocy. Ja pracuję. Ty, jak skończysz studia, też pójdziesz do pracy. Jesteśmy dorośli i nie potrzebujemy nianiek. Coś sobie razem wynajmiemy. Eliza, my się przecież kochamy.

– Wiktor, ale oni chcą kupić mi mieszkanie w Warszawie. Po licencjacie chciałam zrobić magisterkę w stolicy – wyznała, spuszczać wzrok na dłonie.

Wiktor zauważył, że nie odniosła się do kochania, o którym wspomniał. Zabolało.

– Nigdy nie mówiłaś, że chcesz studiować w stolicy.

– Bo to wpadło mi do głowy niedawno – odpowiedziała cicho.

Rodzice postawili ci ultimatum, pomyślał, patrząc na nią. A tak naprawdę chcą cię przekupić mieszkaniem w Warszawie. Wystarczy tylko ze mną zerwać. Eliza, krzyczał do niej w myślach, przecież ty nie jesteś materialistką. Tyle razy rozmawialiśmy o pieniądzach i zawsze mówiłaś, że nie one są najważniejsze. Nie bądź marionetką, która pozwala sobą sterować za pieniądze.

– Niedawno wpadł ci do głowy ten pomysł? – zapytał. – A tak konkretnie to kiedy było to „niedawno”?

Eliza milczała. Skupiła się na przełykaniu śliny. Unikała też wzroku Wiktora.

– Lizka, jesteśmy ze sobą od pięciu lat. Mówimy sobie o wszystkim. Powiedz mi więc: kiedy zapragnęłaś

studiować w Warszawie? – nie odpuszczał, mając świadomość, że zamęcza ją pytaniami. No ale co, u licha, miał teraz zrobić? Podać jej rękę i się z nią rozstać? Zostawić za sobą te pięć lat i iść dalej? Zrezygnować z miłości swojego życia? Opuścić? Tak po prostu? Bez walki?

– W zeszłym tygodniu... – zamilkła i odchrząknęła.

Była blada, nerwowa. Wyglądała tak, jakby każde słowo kosztowało ją naprawdę bardzo dużo siły. Spojrzała najpierw na sufit, a potem na przechodzącą obok kelnerkę. Dopiero gdy ta się oddaliła, Eliza ponownie zerknęła na Wiktora i powiedziała:

– W zeszłym tygodniu rodzice przeprowadzili ze mną rozmowę. To oni zaproponowali mi Warszawę. Stolica oferuje o wiele więcej możliwości niż nasze miasto. Więcej miejsc pracy. Większe zarobki. Ja naprawdę chcę tam jechać.

– Ale beze mnie?

– Wiktor... Dużo myślałam o nas i... to się nie uda. Ty tutaj, a ja tam. Nawet gdybym okłamała moich rodziców i spotykałibyśmy się po kryjomu, to jak ty to sobie wyobrażasz? Widywalibyśmy się raz, może dwa razy w miesiącu? Związek na odległość nie jest dla mnie. A i ty na pewno nie byłbyś z tego powodu zadowolony.

– Pojadę z tobą.

– Chcesz jechać ze mną do Warszawy? – zapytała, a on pokiwał głową. Nie uśmiechał się, był poważny. – Wiktor, ty mówisz serio?

– Tak. Jeśli tak bardzo chcesz jechać do Warszawy, pojadę tam z tobą. Znajdę pracę. Wynajmiemy sobie

mieszkanie. Wcale nie musisz być na garnuszku rodziców. A ja im udowodnię, że można na mnie polegać. Może to sprawi, że zaczną mi ufać.

– Ale jaką ty znajdziesz pracę w Warszawie? Nawet nie podeszedłeś do matury, a gdzie studia? Nie masz przecież zawodu. I co z tego, że potrafisz wszystko zreperować i znasz się na budowlance, jak nie masz na to papierów. Ludzie mają ci na słowo uwierzyć? Tutaj może i tak, ale tam? Tam nikt cię nie zna. Pomyśl sam, z czego my będziemy żyli. Za co wynajmiemy mieszkanie? Ja nie mam oszczędności. A ty? – zapytała.

Wiktor odniósł wrażenie, że jej głos podszyty jest złością. Nie, to niemożliwe, pomyślał, patrząc w jej piękne oczy, dla których po prostu przepadł. Gotów był zrobić dla niej wszystko. I właśnie teraz chciał to udowodnić.

– Mam odłożone na koncie pięć tysięcy. Pamiętasz? Mówiłem ci, mieliśmy je wydać na wakacje. Zaszaleć. Ale w tej sytuacji chyba damy sobie spokój i przeznaczymy je na wynajem mieszkania w stolicy. Na początek wystarczy. Możemy żyć skromnie. Ale razem.

– Ty wiesz, ile kosztuje mieszkanie w Warszawie? A życie? Jedzenie? Bilety? Paliwo do samochodu? O wyjściu do knajpy nie wspominając. I co masz na myśli, mówiąc „skromnie”? Na zakupach chińskich? – Może nie krzyczała, ale miała podniesiony głos. Brzmiała jak ktoś bardzo niezadowolony.

Nie spodziewał się usłyszeć takich słów. Ona naprawdę patrzy na mnie ze złością, pomyślał. Zupełnie jak nie ona. Jakby była kimś obcym. Ich spojrzenia się ze sobą krzyżowały. I właśnie wtedy coś do niego dotarło.

- Ty nie chcesz, żebym z tobą jechał, prawda?

Dziewczyna ścisnęła dłonie w pięści, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała coś, o czym doskonale wiedziała, że to go zaboli.

- Nie chcę z tobą klepać biedy.

- Słucham?

- Nie chcę z tobą klepać biedy, Wiktor - powtórzyła.

- Lizka, jakiej biedy? O czym ty mówisz? Wiesz dobrze, że nie boję się ciężkiej pracy. Tyle razy poruszaliśmy ten temat. Zapewnię ci dobre życie.

- Zapewnisz mi takie życie, jakie twój ojciec zapewnił twojej matce? Ona wiecznie w jednej sukience chodzi. Wiecznie jej na wszystko brakuje, bo musi mu dawać na wódkę. On wszystko przepija. A jak nie ma pieniędzy, to się awanturuje. A ty? Ile razy matka pożyczała od ciebie pieniądze i ci ich nie oddała? A to na chleb, to na jajka, to na prąd! I tak co miesiąc!

- Ja nie jestem moim ojcem, Eliza. Nie piję alkoholu. Wiesz to - powiedział bardzo cicho. - A pieniądze, które pożyczam mamie, to nie są duże kwoty. Sama mi mówiłaś, że dobrze robię, że jej pomagam.

- Nie ma znaczenia, co mówiłam. To koniec.

- Kocham cię - wyszeptał i dotknął dłoni Elizy. - Kocham cię najbardziej na świecie - powtórzył. - Tylko ty się dla mnie liczysz. Tylko ty.

- Rzecz w tym, że ja chyba ciebie już nie kocham - wyznała dziewczyna, strącając jego rękę ze swojej.

Miała łzy w oczach. Wiktor zobaczył w nich nadzieję dla siebie, uznał, że Eliza tak naprawdę wcale nie chce się z nim rozstać. Że to najprawdopodobniej sugestia

jej rodziców i wszystko, co do niego mówi, w rzeczywistości nie ma żadnego znaczenia.

Nachylił się nad stolikiem i powiedział:

– Naprawdę tego chcesz? Naprawdę chcesz z nas zrezygnować? Ze wspólnego oglądania spadających gwiazd? Spontanicznych wyjazdów? Czytania sobie w myślach? Nagich kąpieli w jeziorze? Z seksu na parkingu w środku miasta? Z tej adrenaliny, gdy myśleliśmy, że ktoś nas zobaczy? Z naszych planów? Z naszych marzeń?

– Wiktor, to koniec.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej portfel. Wiktor zauważył, że jej dłonie drżą. Położyła na blacie dwa dwudziestozłotowe banknoty, a potem wstała. Przycisnęła torbę do piersi i po raz ostatni na niego spojrzała.

– Tak będzie najlepiej – powiedziała. – Sam zobaczysz, że za jakiś czas przyznasz mi rację.

Wiktor patrzył na nią, ale nie odpowiedział. To, co usłyszał, podcięło mu skrzydła. Najgorsze było to, że Eliza mówiła o tym wszystkim z takim spokojem, jakby bez żadnego żalu zamykała za sobą drzwi, których miała już więcej nie otworzyć. Jakby to, co ich łączyło przez te wszystkie lata, przestało mieć znaczenie. Kiedy ruszyła w kierunku wyjścia z knajpy, zerwał się z krzesła i złapał ją za rękę. Nie potrafił odpuścić.

– Eliza, proszę... To nie może się tak skończyć...

– Jeśli mnie kochasz, to dasz mi odejść – powiedziała, patrząc na zaciśniętą na swoim nadgarstku dłoń Wiktora. – Pamiętasz, co mi zawsze mówiłeś? Jeśli się kogoś kocha, chce się dla niego tego, co najlepsze. A najlepsze dla mnie będzie rozstanie.

– Ale Eliza...

– Opuść. Proszę. Ja nie chcę z tobą być.

Puścił ją. Nie chciał, ale to zrobił. Chociaż prawdę mówiąc, nie czuł się tak, jakby to on podjął tę decyzję. To się po prostu stało. Eliza wyszła z knajpy, a on opadł na krzesło. Patrzył na nią przez okno. Znikała i z jego oczu, i z jego życia. Kiedy stracił ją całkowicie z pola widzenia, jego dłonie wylądowały najpierw na głowie, po chwili opadły na czoło, a potem na twarz.

Wiktor Cichy był chłopakiem o bardzo miłym usposobieniu. Pomimo braku wyższego wykształcenia posiadał naprawdę ogromną wiedzę w wielu tematach. Kochał książki, miał otwarty umysł i nie zamykał się na niemożliwe. Dociekał i szukał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Od osiemnastego roku życia pracował fizycznie. Jego mięśnie mogły imponować, a przystojna twarz zwracała uwagę. Zachowywał się dojrzałe jak na swoje dwadzieścia trzy lata. Był odpowiedzialny, nie pił alkoholu, napatrzył się na biedę. Kochał i chciał być kochany. Pragnął czegoś więcej niż to, co jego ojciec dawał matce. Chciał, aby jego przyszła żona czuła się przy jego boku szczęśliwa. Chciał, aby została nią Eliza. Zasypywał ją komplementami i prezentami. Zabierał do restauracji, kina i na weekendowe wycieczki. Dawał od siebie bardzo dużo.

Został z niczym.

Wstał od stołu i wyszedł z knajpy. Samochód zaparkował kawałek od rynku. Ze spuszczoną głową i dłońmi zagłębionymi w kieszeniach spodni ruszył w jego kierunku. Mijali go ludzie, których twarzy nie potrafił

zapamiętać. W głowie miał tylko Elizę i wypowiedziane przez nią słowa. To wszystko do niego jeszcze nie dotarło. Czuł się jak on i jednocześnie jak obserwator jakiejś sztuki teatralnej. Był i widzem, i aktorem. Wsiadł do swojego Suzuki Vitara. Ciężko pracował i z wielu rzeczy zrezygnował, żeby odłożyć pieniądze na to auto, ale był niesamowicie dumny, że to zrobił. Bardzo dbał o ten samochód. Oparł głowę o zagłówek. Ogarnęły go żal, smutek i tęsknota. Spojrzał na siedzenie pasażera i położył na nim dłoń.

Ona już nigdy na nim nie usiadzie, pomyślał. Był bardzo bliski rozklejenia się. Usłyszał dźwięk telefonu. Jego pierwsza myśl była pełna nadziei, że to Eliza dzwoni, bo chce się ze wszystkiego wytłumaczyć. To nie była jednak ona. Numer był mu nieznany. Odebrał.

– Dzień dobry – usłyszał mocny, męski głos. – Nazywam się Paweł Wawro. Można powiedzieć, że jesteśmy sąsiadami.

– Tak, wiem, kim pan jest. Prokuratorem.

– W tym momencie dzwonię do ciebie jako sąsiad, nie jako prokurator. Chodzi o twojego ojca.

– Co z nim? Co on znowu zrobił?

Tę rozmowę można było podsumować krótkim: nie-szczęścia chodzą parami.



Rozdział trzeci

– I co teraz będzie z moim ojcem? – zapytał Wiktor Pawła, gdy ten kilka dni po telefonie poprosił go o spotkanie.

Paweł przeglądał dokumenty. Były to kserokopie wniosku o areszt tymczasowy dla ojca chłopaka, Wiktolda Cichego, lokalnego konesera trunków wszelakich, a od mniej więcej tygodnia rezydenta jednego z podkarpackich aresztów. Paweł nie powinien mieć do nich wglądu, ale jednak miał. A dlaczego? Bo nazywał się Wawro i jeśli nie chcieli go gdzieś wpuścić drzwiami, to wchodził tam oknem.

– Punkt widzenia moich kolegów z rzeszowskiej prokuratury wydaje się dość brutalny dla przyszłości twojego ojca – powiedział, kręcąc głową. – Wnioskowano dla niego o trzymiesięczny areszt tymczasowy. Sąd rozpatrzył ten wniosek i się do niego przychylił. Teraz trwa postępowanie. Twój ojciec jest podejrzany o bezprawne zabranie mienia o znacznej wartości. Będzie odpowiadał za kradzież szyn, przewodów i innych elementów infrastruktury kolejowej, w wyniku czego doszło do zakłóceń w ruchu pociągów. Wartość mienia

szacują na dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Grozi mu kara do pięciu lat pozbawienia wolności. – Wawro spoj-rzał na chłopaka.

Wiktor był błądy, a na jego czole skraplał się pot. Nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, że jest jednym wielkim kłębkiem nerwów. Kolejny, który obwinia się o grzechy ojca, pomyślał Paweł. Klasyka gatunku. Narodowa przywara, trauma jakby, bo poczucie winy rodzice przekazują swoim dzieciom w genach.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby jeden człowiek był w stanie sam zrobić coś takiego. To niemożliwe – powiedział Wiktor. Uczepił się tych myśli niczym tonący koła ratunkowego. Zupełnie jakby to, że ktoś pomagał jego ojcu, miało sprawić, że tamten dostanie mniejszy wyrok. Że rozłożą go po połowie. Sprawiedliwie.

– Mają nagranie z monitoringu ze złomowiska – odparł Paweł. – Widziałem je. Widziałem na nich tylko two-jego ojca. Nawet jeśli ktoś mu pomagał, to on nie chce nikogo wsypać. I owszem, działa to przeciwko niemu. Tak czy inaczej, przyklepanie zarzutów to kwestia czasu. Raczej krótszego niż dłuższego.

Słowa te sprawiły, że z koła, którego kurczowo trzymał się Wiktor, zaczęło uchodzić powietrze.

– Paweł, a czy ty jako prokurator nie możesz zain-terweniować? No nie wiem, żeby zamienić mu areszt na roboty społeczne? Albo na areszt domowy? Nie znam się na tym, ale może można coś takiego zrobić? – Przecież ty masz znajomości? Może ktoś będzie w stanie pomóc? – zapytała Anna.

Tuliła do siebie ich półtorarocznego synka, Borysa. Nie spuszczała też wzroku z Wiktora. Możliwe, że gdyby ona i jej zmarły mąż mogli mieć dzieci i byłby to syn, miałby mniej więcej tyle samo lat co ten chłopak. Lubiła Wiktora. Zawsze powiedział „dzień dobry”, przepuścił w kolejce do sklepu, był pracowity, skromny i dobrze wychowany. Nie przez ojca pijaka. Przez ciężko pracującą matkę. Niestety, na jego nazwisku ciążyło ojcowskie piętno.

– Jestem zaangażowany emocjonalnie w tę sprawę – wyjaśnił Paweł beznamiętnym głosem. On również patrzył na Wiktora. – I nie dlatego, że kupowałem od twojego ojca bimber. Chodzi o to, że mieszkam w tej samej miejscowości co on i oficjalnie nie ja się będę tym zajmował.

– A nieoficjalnie? – zapytała Ania.

Spojrzał na nią. Nie chciał mówić, jak to naprawdę widzi, więc musiał lawirować.

– A nieoficjalnie to mam super moce i zobaczę, co da się zrobić. Jednak obiecać nic nie mogę, a o wnioskowaniu zamiany kary więzienia na areszt domowy to, od razu mówię, nie ma co myśleć. To zbyt poważne przestępstwo. Zbyt długa odsiadka do przyklepania, żeby twój ojciec mógł ją odbyć z bransoletką na nodze, na kanapie, w kapciach i z dostępem do alkoholu. Młody – zwrócił się do Wiktora – gdyby to ode mnie zależało, dałbym twojemu staremu rok prac społecznych. I to takich, że w piąty by mu poszło, a na samą myśl o kolejnej kradzieży dostawałby wysypki na jądrach.

Tylko ręce mam związane. Prokurator przydzielony do tej sprawy to młody gniewny, który bardzo chce się wykazać. Ale akurat nim to bym się specjalnie nie przejmował. Wystarczy tupnąć, a się trzęsie. Ważniejsze jest to, kto będzie wydawał wyrok i jak cała sytuacja będzie zinterpretowana. Ty i twoja matka musicie się uzbroić w cierpliwość. W areszcie, w którym przebywa twój ojciec, widzenia są możliwe dwa razy w miesiącu. To pierwsze było w zeszłym tygodniu. Na kolejne trzeba trochę poczekać. Takie zasady. A moja rada jest taka, że razem z matką powinniście się przygotować na wysyłanie paczek do więzienia przez kilka lat. Przykro mi – dodał, zakładając, że chłopak pewnie chciałby usłyszeć, że komuś jest z tego powodu przykro.

Inna sprawa to to, że Pawłowi wcale nie było przykro.

– Boję się o mamę – powiedział Wiktor, pocierając zeszytniały kark. Jego ciało w taki sposób reagowało na sytuacje stresujące, a niewątpliwie w takowej właśnie się znalazł. – Ona tak bardzo się teraz wstydzi przed ludźmi, a przecież to nie ona zawiniła. To on. To zawsze jest on.

– Czy mogę ją odwiedzić? – zapytała Anna. Widząc wahanie chłopaka, dodała: – Zapytaj ją. Nie chcę się narzucać, ale wiem, że czasem wystarczy się komuś wygadać, żeby ulżyło. Jeśli nie, nie będę się wpraszać – powtórzyła.

– Zapytam – odpowiedział Wiktor, chociaż miał niemal stuprocentową pewność, że mama nie będzie

chciała rozmawiać z tą kobietą. Wstał od stołu i po raz kolejny podziękował za pomoc.

Paweł odprowadził go do drzwi. Kiedy wrócił, z rezygnacją pokręcił głową, jednak nie powiedział Ani, że w sumie wali go to, co się stanie z ojcem Wiktora. Doszedł do wniosku, że jej wrażliwe serce mocno by to odchorowało.

– Czuję się tak, jakbym otworzył przytułek dla potrzebujących – wymamrotał, opadając na krzesło obok niej. Pocałował ją i synka i zabrał się za zbieranie dokumentów ze stołu. – Lituję się nad podrzędnym złodziejaszkiem i jego rodziną, ukrywam w piwnicy Zbyszka, który okupuje moje PlayStation i butelkę z ulubioną whisky, a za dwie godziny odbieram z dworca niedoszłą samobójczynię. Co w moim życiu poszło nie tak?

– Jestem z ciebie dumna. – Ania patrzyła na niego pełnym miłości wzrokiem.

Ty i to twoje dobre serce, pomyślał.

– Halo! Jest tu ktoś?

Do ich uszu dobiegł głos Bożeny i trzaśnięcie zamkniętych drzwi. Jak zwykle nie zapukała.

– Halo?

– Znowu przylazła ta nadpobudliwa seksualnie wartatka – stwierdził Paweł, wywijając oczyma.

– Jesteśmy w gabinecie! – odkrzyknęła Ania, a potem powiedziała do niego ściszym głosem: – Możesz przestać zachowywać się w stosunku do niej jak wieśniak?

– Nie łącz mnie, jej i słowa „stosunek” w tym samym zdaniu. Ale skorzystaj z okazji i spróbuj po raz

milionowy przemówić jej do rozumu, że Zbyszek nie chce mieć już więcej dzieci, dlatego się od niej izoluje. I serio, lepiej, żebyś ty jej to uświadomiła, bo ja nie mam zamiaru być dyplomatą w tym temacie i wywalę jej prawdę między oczy. I bardzo ją to zaboli – wyszeptał do ucha Annie, a potem szybko zgarnął ze stołu resztę papierów i wstał, żeby wyjść.

Minął się z Bożeną w drzwiach.

Jej sięgające ramion czerwone włosy wyglądały tak, jakby od dwóch tygodni nie widziały grzebienia. A fryzjera od kilku miesięcy, bo odrost miał dobre dziesięć centymetrów długości. Ale przynajmniej w końcu człowiek wiedział, jaki jest jej naturalny kolor włosów. Była brunetką. Wygląd Bożenki był efektem jej nadgorliwości, wynikającej z chodzenia do pracy na pół etatu, ciągłego opieprzania Zbyszka, kłócenia się z jego matką i wychowywania trójki małych dzieci – dwójki blisko półtorarocznych bliźniąt, Jacka i Agatki, oraz niemowlaka, który przyszedł na świat po roku od narodzin bliźniąt. To był chłopiec. Czteromiesięczny Kornel. Jednak pomimo tylu nieprzespanych nocy, tony prania i bycia w ciągłym pogotowiu Bożence marzyła się jeszcze co najmniej trójka pociech, o czym Paweł i Ania doskonale wiedzieli. W zasadzie wszyscy mieszkańcy Traszek byli tego świadomi. Najbardziej jednak świadom był Zbyszek, który bał się jej powiedzieć, że nie chce więcej dzieci. Więc po prostu uciekał z domu w jej dni płodne celem uniknięcia ponownego ojcostwa. I koło się zamykało.

– Widzieliście może mojego męża? – zapytała Bożena, spoglądając na Pawła. Trzymała się pod boki i patrzyła na niego podejrzliwie spod przymrużonych powiek. Brakowało jeszcze tylko, żeby zaczęła go obwąchiwać jak pies tropiący. – Bo mi listonosz powiedział, że widział go, jak szedł w stronę waszego domu. Był tutaj?

– Nie do mnie zgłasza się zaginięcia ludzi. Ja zajmuję się oskarżaniem nienormalnych żon, które łążą za swoimi mężami i ich terroryzują. Im większy wyrok dostaną, tym ja mam większą radość – oświadczył Paweł.

Zerknął na Annę. Stała za plecami Bożenki. Popukała się w czoło i położyła palec na ustach.

– Zbyszek nie zaginął – powiedziała nieświadoma tej niewerbalnej wymiany zdań Bożenka. – On po prostu wychodzi z domu i znika na kilka godzin, a gdy wraca, jest nieprawdopodobnie zmęczony. Zero pożytku z niego wtedy, bo twierdzi, że nie ma na nic siły. Przez kilka dni dochodzi do siebie. Jak się go pytam, gdzie chodzi, to mówi, że na ryby. A jak wraca bez nich, to mówi, że łowi i wypuszcza je z powrotem do wody, bo robi mu się ich szkoda. A jak mu mówię, żeby przestał to robić, bo to jest bez sensu, to on mówi, że jest uzależniony od łowienia. I mnie się wydaje, że on coś przede mną ukrywa.

Mówisz do niego?, pomyślał Paweł. Wątpię. Raczej krzyczysz. Wiedział o tym, bo Zbyszek za każdym razem zdawał mu relację z tych „rozmów”.

– A może po prostu potrzebuje spokoju, co? – zapytał Bożenę, posyłając Annie wymowne, aczkolwiek ukradkowe spojrzenie.

– A co, jeśli ma kochankę? – Bożena, jak to Bożena, od razu wypaliła z grubej rury, przypisując swojemu mężowi jeden z siedmiu grzechów głównych.

– Kochankę przerabiałaś przed narodzinami bliźniaków – przypomniała jej Ania. – To wykluczone. Siadaj. Zrobić ci herbaty?

– Zrób – powiedziała.

Usiadła na krześle, które wcześniej zajmował Paweł. Ania posadziła jej na kolanach Borysa, który ledwo zobaczył ciocię Bożenkę, zaczął się w głos śmiać. Dzieci ją uwielbiały. Z wzajemnością.

– A jak on bierze udział w jakimś przestępstwie? – zapytała, tuląc do siebie chłopca. – Jak Cichy? A co, jeśli on też coś ukradnie i pójdzie siedzieć? Co ja wtedy zrobię?

Paweł pomyślał, że to w sumie nie byłby głupi pomysł, gdyby Zbyszek popełnił przestępstwo, za które wsadziliby go do więzienia na dwadzieścia pięć lat. Miałby przynajmniej święty spokój. A jak już by wyszedł, Bożena byłaby zapewne po menopauzie i skończyłyby się problemy z jej heroicznie absurdalną walką o zwiększenie populacji wsi. Dwadzieścia pięć lat można też przyklepać za morderstwo współmałżonki, co w tym przypadku rozwiązałoby problem. Oczywiście na taki wyrok można liczyć jedynie wtedy, kiedy brakuje okoliczności obciążających, a zbrodnia popełniona została bez okrucieństwa. Bo jak okrutnie, to zazwyczaj karą jest dożywotnie pozbawienie wolności. Paweł zerknął na Bożenę i doszedł do wniosku, że gdyby to ona zamordowała Zbyszka, na pewno dostałaby dożywocie.

Wyszedł z salonu i zaczął iść na piętro. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju czteroletniej Róży. Jego oczka w głowie. To była córeczka tatusia, dla której Paweł gotów był polecieć na Księżyc, gdyby tylko tego chciała. Mała siedziała pochylona nad kartką i coś na niej malowała. Większość dziewczynek w jej wieku była księżniczkami albo wrózkami. Natomiast Róża Wawro ten etap miała już dawno za sobą i teraz chciała zostać Spider-Manem. Miała nawet na sobie kostium tego superbohatera. Paweł kupił jej od razu trzy, żeby kiedy jeden będzie w praniu, a drugi będzie się suszył, trzeci mógł być noszony. Miał niesamowity ubaw, gdy tłumaczył to ekspedientce.

Kiedy dziewczynka zorientowała się, że Paweł stoi w drzwiach, posłała mu uśmiech i powiedziała:

– Tatusiu, kocham cię najbardziej na świecie, wiesz?

– Nie, to ja kocham ciebie najbardziej na świecie – odparł wychowany w domu dziecka Paweł, który uważał, że nigdy nikogo nie pokocha, bo nie potrafi. Ania i dzieci nauczyły go miłości. Byli dla niego najważniejsi. Gotów był dla nich na wszystko. Ale tylko dla nich. Oczywiście w jego życiu istnieli również inni ludzie, ale gdyby nagle zniknęli, nie zrobiłoby to na nim większego wrażenia.

– Co rysujesz? – zapytał.

– Miłość – powiedziała, unosząc w górę kartkę. Była na niej tęcza i ludzie patyczaki. Każda z postaci miała okrągłą głowę z szerokim uśmiechem, a tułów, nogi i ręce były cienkimi kreseczkami. Wskazała na jedną

swoim małym palcem i oznajmiła z szerokim uśmiechem: – To jesteś ty, tatusiu. I jeszcze narysuję ci białego konia, mustanga. Żebyś sobie mógł na nim pojeździć.

Paweł uśmiechnął się i puścił do niej oczko. Zszedł do piwnicy przekazać Zbyszkowi, żeby uważał, bo czerwonołosa wiedźma, która dybie na jego plemniki, czai się w domu. Pewnie, że mógł mu napisać SMS-a, ale miał do tego uciemiężonego przez Bożenę człowieka ogromny sentyment. Coraz częściej łapał się też na tym, że bardzo lubi z nim rozmawiać. Próbował także uczyć go asertywnego odmawiania, jednak obaj wiedzieli, że w przypadku Bożeny nie będzie z tym łatwo. A czasem po prostu obaj siedzieli w piwnicy, zaanektowanej na męski pokój, milczeli i grali na PlayStation. Zbyszek stanowił swego rodzaju substytut Sebastiana. To nie było to samo, ale w niewytłumaczalny dla Pawła sposób swoją obecnością wypełniał pustkę po przyjacielu.

Gdy Zbyszek zapewnił, że będzie na siebie uważał, Paweł wsiadł w samochód i pojechał do Rzeszowa. Miał odebrać Renatę z dworca. Wcześniej jednak postanowił zawitać do prokuratury. A nuż dowie się czegoś nowego w sprawie Witolda Cichego. Oczywiście to nie tak, że dobre serduszek Pawła wyrywało się do niesienia pomocy. Nic z tych rzeczy. Ania go o to prosiła.

Kiedy kilka dni temu okazało się, że zatrzymali jakiegoś człowieka podejrzanego o kradzież infrastruktury kolejowej, Paweł nie skojarzył, że to ten sam Witold Cichy, który podobnie jak on mieszka w Traszkach. Dopiero telefon od Anny wzmógł jego czujność. We wsi

bowiem rozniosła się plotka, że jeden z okolicznych mieszkańców został aresztowany. Ludzie nie wiedzieli tylko kto konkretnie i z której wioski. Oczywiście snuli domysły na temat kilku typów, a Cichy był na tej liście. Paweł popytał, podzwonił i chwilę później już miał pewność, że to nie jest zbieżność nazwisk.

– Co ten człowiek miał w głowie? – zapytała Anna, gdy potwierdził jej, że chodzi o mieszkańca Traszek. – Zamiast pójść do uczciwej pracy, to nie! Po co? Lepiej coś zachachmęcić i się nie narobić, ale na wódkę mieć! Tak mi szkoda jego żony i syna. Ona wystarczająco się za niego wstydu najadła, z kolei Wiktor to taki dobry i pracowity chłopak. Sam widziałeś, jak wyremontował nasz strych. Nie ma się do czego przyczepić.

Paweł kojarzył Wiktora, jednak nie miał nigdy okazji, żeby z nim porozmawiać. Gdy chłopak odnawiał poddasze w ich domu, on kursował jeszcze między Krakowem a Rzeszowem. Wychodził skoro świt, często wracał po zmroku. Wszystko było na głowie Ani.

– A nie pomyślałaś, że może najlepsze dla nich będzie to, jak on pójdzie siedzieć? – zapytał, przeglądając papiery na biurku. Cichy obchodził go tyle, co śnieg w dwa tysiące piątym roku, i najchętniej skończyłby już ten temat.

– Nie mam pojęcia, co będzie dla nich najlepsze. Jak się ludzie dowiedzą, to nie dadzą im żyć. Lubię tutaj mieszkać, ale te wiejskie plotki wychodzą mi już bokiem.

– Taa – sarknął Paweł – a twoja przyjaciółka Bożena jest głównym źródłem informacji. Lokalna rozgłośnia

o bardzo szerokim zasięgu. Radio o nazwie Wiem Wszystko Pierwsza.

– Powiem, żeby tym razem trzymała język za zębami. Inaczej osobiście jej go utnę.

– Moja dziewczynka. – Paweł zaczął się śmiać.

– Pawełku... – Z ust Anny wydobył się słodki dźwięk. Kiedy mu „pawełkowała”, to znaczyło, że czegoś bardzo potrzebuje. – Tak się zastanawiam, czy ty mógłbyś pojechać do żony tego Cichego i jakoś ją wesprzeć? Ma na imię Ilona. Wiesz, tutaj wszyscy wiedzą, że jesteś prokuratorem. Ale też sąsiadem.

– Inni się tym zajmują – powiedział, co tak naprawdę znaczyło: „Nie chce mi się, to nie moja sprawa”.

– Nawet jeśli, to i tak mógłbyś jechać i okazać jej swoje wsparcie. Mógłbyś? – Anna albo nie wyłapała tego, co chciał jej zakomunikować między słowami, albo nie chciała tego wyłapać. Raczej to drugie. – Pawełku?

Pokręcił głową, trzymając telefon przy uchu. Uniósł też wzrok i westchnął z rezygnacją.

– Powiedz mi, dlaczego ja mam do ciebie taką słabość? – zapytał.

– Bo tak mnie kochasz.

Paweł popytał, a kiedy okazało się, że jeszcze nikt nie pokwapił się, żeby powiadomić rodzinę zatrzymanego, pojechał do jego domu, informując wcześniej kogo trzeba, że weźmie to na siebie. Bo sąsiad i takie tam. Nikt nie wyraził sprzeciwu.

Dom, w którym mieszkał Witold Cichy, znajdował się nieopodal sklepu Bożenki. Był to parterowy budynek

z czerwonej cegły. Spadzisty dach pokryty był blachodachówką. Dookoła zabudowań panował porządek, co nieco zdziwiło Pawła, który spodziewał się raczej walającej się wszędzie sterty złomu, powybijanych szyb i brudnego psa wściekle ujadającego na łańcuchu. Okna w domu wyglądały na niedawno wymienione, ogród był zadbany, na podwórzu w równych stertach stało poukładane drewno i były zasadzone krzewy hortensji. Wszystkie zabudowania, które znajdowały się na placu, wyglądały na zadbane. Po posesji biegały trzy malutkie kociaki, które ledwo zobaczyły przybysza, zaczęły się przymilać do jego nogi. Pierwsza myśl Pawła była taka, że Róża byłaby zachwycona, gdyby mieli w domu kota. Szczególnie wpadł mu w oko cały czarny. Wawro nachylił się i zaczął go drapać za uszkiem.

– Fajny jesteś – powiedział do zwierzaka, a ten w odpowiedzi syknął na niego i go drapnął. A potem uciekł. – No kurwa, zupełnie jak ja. Najpierw się przymila, a potem zadaje cios – zaśmiał się. – Gnojku, pamiętaj o tym, że agresywna postawa to cecha zwycięzców! – krzyknął za tym małym gagatkiem, nie przestając się śmiać.

Z domu wyszła kobieta. Gdyby nasz prokurator miał na pierwszy rzut oka ocenić jej wiek, powiedziałaby, że jest grubo po sześćdziesiątce. Tak grubo, że brakowałoby może z trzech lat do siedemdziesięciu. Jej twarz naznaczona była zmęczeniem i zmarszczkami. Ilona Cichy miała czterdzieści osiem lat. Była zaledwie rok starsza od Pawła. Kobieta miała na sobie brzydką brązową

spódnicę za kolano, zieloną koszulę, a na nią narzuconą żółtą wełnianą kamizelkę.

– Dzień dobry, pani Cichy. Nazywam się Paweł Wawro. Mieszkam koło leśniczówki – powiedział, prostując się, gdyż jeszcze chwilę wcześniej kucał i głaskał kota.

– Tak, wiem, kim pan jest. Co pana do nas sprowadza? Męża nie ma. Nie wiem, kiedy go pan zastał – odparła, patrząc wszędzie, tylko nie w oczy Pawła. Obejmowała się rękoma, jakby chroniła ciało przed atakiem.

Paweł dałby sobie rękę uciąć, że w jej głowie dochodzi do spekulacji dotyczących się tego, co on tutaj robi. Na sto procent pomyślała, że jej mąż coś odwalił. Cóż za przewidywalny umysł. Albo nie – racjonalny.

– Chodzi o pani męża.

Jego słowa tylko potwierdziły milczące przypuszczenia kobiety. Kiedy poinformował ją, co się stało, najpierw na niego spojrzała, potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, jednak bardzo szybko je zamknęła. W końcu zaczęła płakać, jeszcze ciaśniej obejmując się ramionami.

– Matko święta i co teraz z nami będzie? Zabiorą nam dom za jego występki? – zapytała.

W jej zrozpaczonym głosie było coś, co kazało Pawłowi uwierzyć, że ona naprawdę tak myśli.

– Nie, nie zabiorą. Pani mąż prawdopodobnie pójdzie do więzienia – dopiero kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę z tego, że słowo „prawdopodobnie” było tutaj co najmniej nie na miejscu. Przecież on pójdzie

siedzieć. Jedyną niewiadomą było to, na jak długo. No ale cóż, słowo się rzekło.

– Mój mąż pójdzie do więzienia? Na jak długo? – zapytała go.

– Jak na moje doświadczenie i wiedzę grozi mu jakieś trzy do pięciu lat – uznał, że może się podeprzeć takimi widełkami czasowymi. A nuż sędzia wydający wyrok okaże się łaskawy.

– O Boże! Taki wstyd! I znowu ludzie będą gadać.

Już gadają, pomyślał Paweł.

– A pani syn? Jest w domu? – zapytał, a ona w odpowiedzi zaprzeczyła ruchem głowy.

Chujowo, pomyślał, patrząc na jej wystraszoną twarz. Westchnął w duchu i postanowił zrobić coś, co zapewne uplasuje go nieco dalej w kolejce do piekła.

– A czy dałaby mi pani jego numer telefonu? – zapytał. – Lepiej, żeby dowiedział się ode mnie niż od kolegów. No chyba że pani sama chce mu o tym powiedzieć, co jest dla mnie jak najbardziej zrozumiałe. Też wołałbym się o coś takim dowiedzieć od matki, a nie od sąsiada.

Ilona Cichy bardzo szybko pokręciła głową, co trudno było jednoznacznie zinterpretować. Przez chwilę trzymała dłonie w kieszeni, a jej wzrok wbity był w stopy. W końcu wyjęła z kamizelki telefon, który musiał pamiętać początek roku dwutysięcznego. Paweł rozpoznał, że to mocno wysłużony Alcatel. Drżącymi dłońmi zaczęła coś na nim stukać. Gdy znalazła to, czego szukała, pokazała mu ekran. Wołałby, gdyby sama poinformowała

syna o tym, co się stało, i najchętniej już by sobie stąd poszedł, ale jedynie zapytał po raz kolejny, czy jest pewna, że to on ma zadzwonić. Pokiwała głową. W jej oczach widział łzy.

Wystukał rząd cyferek na swoim telefonie. Uznał, że nie byłoby dobrze, gdyby po odebraniu telefonu od matki chłopak usłyszał obcy głos.